

ALFRED ARDEN.

Zemsta bogini Kali.

Prawo przedruku i przekładu zastrzeżone.

17

...Powinniście to zrozumieć sami z siebie. W przeciwnym razie Kali sama upomni się o swoją ofiarę... I nie będziecie wtedy pewni dnia ani godziny...

...Widzieliście wczoraj tajemniczą śmierć owego Anglika w kawiarni. I on był niegdyś podobnie jak wy dopuszczony do naszych tajemnic. I chciał uchylić się od należnej ofiary... Nie chciał zrozumieć, że niema dlań więcej miejsca na tym świecie. Chciał odwlec to, co było nieuchronne i nieublagane. Łudził się. Widzieliście to wczoraj. Niech będzie to dla was przestroga...

...Mogę wam dziś już powiedzieć, że padł on z mej ręki. Patrzycie na mnie ze zgrozą? ze wstrętem? Nazywacie mnie w myśli zbrodniarzem? mordercą?... Niesłusznie! Albowiem jestem li tylko ślepe narzędziem, mieczem karzącym w ręku Ducha Mściciela...

...Przychodzą wam teraz na myśl zapewne straszliwe legendy o Tugach, zwanych „Dusicielami z Bengalu“, z powodu dawnego rytuału związku, który zabraniał przelewu krwi ofiar, złożonych ku uczczeniu Kali. Ale to już dawne czasy... Dziś zmienił się rytuał Tugów. Idziemy naprzód z postępem. Stare, dobre taśmy, pozbawiające pierś ludzką oddechu i wybawiające ducha wiernych z cielesnej powłoki spoczęły już wśród nieużytecznych pamiątek...

Tu Rama przerwał.. Gdy mówił ostatnie zdanie głos jego brzmiał źle ukrywanym szyderstwem. Nim zdołaliśmy ochłonąć z wrażenia, jakie wywarły na nas jego słowa, Rama wskazując ręką na pobliskie drzewo mangowe zawołał:

— Patrzcie! Widzicie tego prześlicznego ptaka, który kołysze się na najwyższej z gałęzi... Oto cieszy się otaczającym go życiem. Oto gładzi swe przepyszne pióra zadowolony, szczęśliwy, pławiąc się w radości istnienia. I nie przeczuwa, że w tej samej chwili skrada się ku niemu śmierć gwałtowna, chytra, zdradliwa...

Dążąc za wzrokiem Ramy dostrzegaliśmy wspaniałą papugę kakadu, wyglądającą jak barwna kamea w zwartej zieleni. W tej samej chwili usłyszeliśmy chrzęst nakręcanego zegarka. I ujrzelśmy w lewym ręku Ramy jego złowieszczy chronometr. Wzdrygnąłem się przypominając sobie tragiczną scenę z kawiarni. Zahim ktokolwiek z nas zdołał dobyć z siebie głosu rozległ się niemiły grzyt odkręcającej się czy pekającej w zegarku sprężyny i w tej samej chwili olbrzymia papuga uderzyła w powietrze skrzydłami i nie wydawszy najmniejszego krzyku zwiła ciężko z gałęzi, poczem rozkurczywszy szpony runęła w gęstwę zbitego listowia. Wkrótce jej ciało łamiąc z trzaskiem gałązki, na których się zatrzymywała za chwilę legło u stóp naszych, miotane śmiertelnym kurczem. Na wysokiej trawie zabłyśły krople krwi rozrzucone gdzieś tam jak garść bezcennych rubinów.

— Gdzie jest Rama? — zakrzyknął nagle Silvas.

Podnieśliśmy przerażone oczy i obejrzelśmy się wokół siebie. Chwiejące się gałęzie pobliskich zarośli zdradzały obecność człowieka. Z zielonej gęstwiny dobiegł nas uroczysty i donośny głos Ramy, brzmiąc z dala jak wyrocznia złowroga:

— Żegnajcie!... Rozchodźcie się pod znakiem śmierci... Bądźcie na jej przyjęcie gotowi... Czuwajcie! Jesteście wobec niej równie bezbronni, jak ptak, który leży martwy przed wami. Macie przed sobą nie wiele więcej niż dwa lata życia. „Dwadzieścia sześć razy tylko oglądać będziecie nową i pełnią księżyca“ — tak mówi nasza ofiarna modlitwa. Ten czas każdy prawowierny Hindus poświęca na zerwanie z marnościami świata i przygotowanie do wyższego życia. Postąpcie za naszym przykładem...

Głos Ramy zgasł gdzieś w oddali. Długo jeszcze staliśmy w milczeniu nie mogąc ruszyć się z miejsca. Nagle zdjęci jakimś niepojętym strachem rzuciliśmy się w kierunku rzeki, gdzie czekała łódź motorowa, mająca nas odwieźć do miasta.

Rozdział VIII.

Snop światła.

26 lutego.

Dziś opuszczamy Indje. Piszę tę krótką notatkę na pokładzie „Brandizji“, wśród przeraźliwego ryku syreny, sygnalizującej podniesienie kotwicy. Mniej więcej za dwa tygodnie powinniśmy stanąć w Paryżu... Czuję już kołysanie okrętu i gwałtowne uderzenia śruby. Oddycham swobodniej. Idziemy...

29 lutego.

Liczymy każdą godzinę dzielącą nas od Europy... Czujemy się dziwnie samotni tu wśród morskiego bezmiaru... Żyjemy we własnym kółku nie nawiązując bliższej styczności z resztą pasażerów... Uważają nas tu za dziwaków, odludków, mierzając ciekawości i podejrzliwymi oczyma. A my obracamy się wciąż w zakętym kręgu naszych myśli, poramy się wciąż wewnątrz siebie z przeszłością, która nas grzebie... I myślimy o strasznej przepowiedni Ramy. Mało rozmawiamy z sobą. Leżymy za to dniami całymi na pokładzie w wygodnych leżakach, lub snujemy się milcząco, smutni i obcy wśród wesołej ciżby okrętowych gości, złożonej z najrozmaitszych ras i narodów. W nocy trudno nam zasnąć w ciasnych i dusznych kajutach. I znów wychodzimy na pokład i spędzamy najmiłsze godziny wpatrując się w atramentowe fale, ugrzywione białymi wachlarzami piany, słuchając ich monotonnego bełkotu, wchłaniając jego niezrozumiałą tęsknicę. Dziwnie kojąco wpływa to na duszę

4 marca.

Dziś minęliśmy Kanał Sueski i wpłynęliśmy na Morze Śródziemne. Pogoda prześliczna... Morze dziwnie spokojne i ciche. Zebraliśmy się jak zwykle wieczór na pokładzie. Właśnie słońce tonało w granatowej głębi, złączając blaskiem ostatnimi grzbiety fal zmarszczonych lekko, jednostajnych, równych, nieruchomych, jakby wyżłobionych w skałę. Wkrótce

słońce zgasło i tylko purpurowy słup ognia, oblewający krwią daleki horyzont żygający czerwoną posoką na fale wieścił śmierć dnia i królestwo nadchodzącej nocy...

Siedzieliśmy pogrążeni w myślach... Było dziwnie spokojnie i cicho... Spojrzeliśmy w pewnej chwili po sobie. Zrozumieliśmy instynktownie wszyscy, że nadszedł czas, by beznamiętnie i bezosobowo niemal omówić nasze przeżycia, zdać sobie z nich sprawę w obiektywny i spokojny sposób, poddać je pod skalpel chłodnej analizy. Głęboka pogoda wieczoru nastrojająca na podobny ton dusze zdawała się sprzyjać tym myślom. Toteż gdy Blanka zabrała głos w pewnej chwili, odczuliśmy, że jest ona wyrazicielką nas wszystkich.

— Moi przyjaciele — zaczęła swym miłym srebrzystym głosem, w którym dźwięczała nuta głębokiej powagi — ostatnie tygodnie tak nas zespoliły z sobą, wytworzyły w nas tyle jednakowych przeżyć, wywołały w duszach tyle wspólnych uczuć, że możemy się porozumiewać z sobą niemal bez użycia mowy. Niemniej sądzę, że należy raz omówić wspólnie to wszystko, co zaszło z nami w Indjach, zastanowić się nad kolejnym rozwojem tych zdarzeń, w które byliśmy wpłątani, starać się doszukać między nimi istotnego związku i rozumowo wyjaśnić je sobie. Poza tym musimy uprzytomnić sobie, co nam zagraża od Ramy i jak mamy się bronić przed niebezpieczeństwem, które zawisło nad nami. Słowem: musimy rzucić okiem wstecz i naprzód. Sądzę, że się ze mną zgadzacie?...

— Bravo! — odpowiedział Silvas, potrząsając swoją bujną czupryną, z odcieniem humoru w głosie, humoru, który go nie opuszczał nawet w najbardziej beznadziejnych chwilach. — Przyjmujemy jednogłośnie „porządek dzienny“ zebrania. Teraz kolej na wybór przewodniczącego! Sądzę, że profesor Van Gelle prowadzić będzie dyskusję w sposób znakomity!... Do niego zatem niech należy również „pierwsze słowo“.

Kiwnęliśmy z uśmiechem głowami. Van Gelle zapalił trzymane w ręce cygaro, poczem milczał w skupieniu dłuższą chwilę. Gdy zaczął mówić, cichym, delikatnym szeptem, głowy wszystkie pochyliły się z uwagą ku niemu.

— A zatem mamy w pierwszym rzędzie zdobyć się na próbę wyjaśnienia, zgodnego z wymaganiami rozumu, tych wszystkich dziwnych zdarzeń, których byliśmy niedawno widzami i aktorami zarazem. A więc wymieniam kolejno: przedewszystkiem tajemniczą przestroga, rzucona mnie i panu Silvas w kawiarni, potem list z ostrzeżeniem u samego wstępu do naszej podróży, potem produkcje fakira na przedmieściach w Benares i nasz dziwny powrót w obręb hotelowego podwórza, wreszcie złączona z tem historia filmu, który zawierał list Tugów, zamiast zdjęć z produkcji fakira. Dalej sceny w podziemiach bazaru, śmierć owego Anglika w Kalkucie, którego w tajemniczy sposób zamordował Rama, oraz pożegnalna scena z zabiciem papugi. Oto wszystko, jeśli mnie pamięć nie myli...

...Rozwiązanie tych licznych zagadek nie jest tak trudne, jakby się zdawało. Wystarczy je zanalizować chłodno, wystarczy wydobyć się z „niesamowitego“ nastroju, który nam zasugerował Rama, by wrażenie ich tajemniczości zbladło i by wyjść z grzęzawiska „nadszału rzeczywistości“ na twardy grunt naukowych hipotez.

Otóż pomijam narazie owe ostrzeżenia, jakimi starano się przerazić nas jeszcze w Delhi. Wrócę do nich później, a teraz zacznę od tajemniczej sceny z fakirem w Benares. Tutaj nie ulega — wątpliwości, że padliśmy ofiarą jakiejś monstrualnej hypnozy, w drodze której Rama zasugerował nam to, cośmy rzekomo widzieli na podmiejskim placu i co pozostało nam w myśli, jako całkiem realne zdarzenie. Opieram się tutaj na zupełne konkretne dowody. Przypuszczam, że pamiętacie jak w kilka dni po tem niesłychanym przejściu, wypytywałem każdego z was mimochodem w indywidualnej rozmowie o wrażenia, jakie wynieśliście z tej sceny. Pytałem się was o pewne szczegóły: o ilość gawiedzi otaczającej fakira, o wygląd sąsiednich domów i całego placu i t. d. Odpowiedzi wasze, dziś wam to mówię, były całkiem sprzeczne, nie zgadzały się zupełnie w szczegółach. Największa zgodność panowała co do osoby samego fakira, koloru tkaniny opasującej mu biodra i samego przebiegu popisu z chłopcem i liną. Dodajcie do tego fakt, że po skończeniu tej sceny znaleźliśmy się nagle na podwórzu naszego hotelu, a będziecie mieć wytłomaczenie całej zagadki gotowe.

Nie ulega wątpliwości, że ubyliśmy hallucynacji zbiorowej spowodowanej niesłychanym natężeniem woli i hipnotycznych właściwości Ramy. Rzecz prosta, że cały jego wysiłek miał w kierunku zasugerowania nam głównego popisu fakira; jego wola, jego siła myśli nie zdołała tak wszechstronnie objąć wszystkich drugorzędnych szczegółów tej sceny. Stąd nasza zgodność, jeśli chodzi o główne doznawanie, stąd nasza rozbieżność w ocenie mniej istotnych wrażeń. Jest to punkt, który spotykamy zawsze, gdy chodzi o hallucynację zbiorową. Pomówcie kiedyś z uczestnikami spirytystycznych seansów, a przyznacie mi, że się nie mylę.

— Ba! — krzyknął Silvas — i ja myślałem podobnie... Cóż, kiedy historia z filmem podważa mocno wyjaśnienie pana profesora!

— Spokojnie! — odpowiedział Van Gelle z uśmiechem. — Historia z filmem najmniej mnie zasmuca. Wytłomaczenie jej jest całkiem jasne. Rama na dzień przed swoim występem odkrył prawdopodobnie mój podstęp... Mogło stać się to wtedy, gdy zdejmowałem jego fotografię. W nocy zatem zakradł się do mego pokoju i wyjął przygotowaną wstążkę filmową, wstawił na jej miejsce swoją wraz ze słynnym ostrzeżeniem od Tugów i unieruchomił jednocześnie aparat. O ile przypominam sobie, spałem niezwykle mocno tej nocy. Kto wie, czy Rama przy kolacji nie dosypał mi nasennego proszku do potraw, przekupiwszy kucharza w hotelu. Rzecz prosta, że nazajutrz mój aparat był „niemy“. Jestem pewny, że gdyby był czynny nie pokazałby nic więcej, jak podwórze naszego hotelu i potwierdził w zupełności moje wyjaśnienie...

— Tak to brzmi dość przekonująco — stwierdziłem. — Może pan profesor przejdzie teraz do naszych przeżyć w podziemnej hali w Benares.

— Och! to jestem skłonny uważać za całkiem realne przeżycie. Zgadza się ono z tem, co dotychczas już wiemy o Tugach. Liczne relacje znakomitych badaczy Indji stwierdzają, że czciciele Kuli składają hołd swej bogini oddając się tajemnym orgiom o zmysłowo-mistycznym podkładzie. Do tych orgii dopuszczani są zazwyczaj nieliczni wybrani. Pod wpływem silnych nieznanym nam narkotyków, którymi się nasycą powietrze wprowadzają się oni w stan potężnej ekstazy, dającej złudzenie zarówno niesłychanych przeżyć w dziedzinie erotyczno-zmysłowej, jak intelektualno-filozoficznej, jeśli wolno w ten sposób wyrazić.

(C. d. n.)